

Dziwny jest ten świat...

Mówią, że podróże kształcą... pewnie tak. Na pewno jednak, przynajmniej w moim przypadku, rozszerzają światopogląd, przewartościowują... W stosunkowo niedługim okresie udało mi się odwiedzić trzy całkiem różne społeczności karaïmskie. Na ich kształt musiało się złożyć tyle różnych elementów, że pomimo wielu podobieństw, jeszcze więcej jest różnic.

Co je łączy? Otóż wszystkie miejsca, które odwiedziłam, są w pewnym stopniu karaïmskie, powiązane z karaïmską historią i do dziś zamieszkiwane przez Karaïmów. Jakie to miejsca, zapytacie? Och! To miejsca odległe od siebie geograficznie, miejsca, które dzielą od siebie eony historii. Rosja – St. Petersburg. Zamieszkiwany przez Karaïmów przez ostatnie dwa stulecia. Turcja – Sztambuł. Niedysyjszy Konstantynopol był we wczesnych wiekach średnich centrum myśli karaïmskiej, dziś jest siedzibą ostatniej już w Turcji gminy karaïmskiej. I Izrael, a w nim Jerozolima ze świątynią pamiętającą Anana i całkowicie współczesny Aszdod, zamieszkiwany przez karaïmskich emigrantów z Egiptu. Jakże różne miejsca, jakże różne wrażenia!

To był niezbyt zimny, ale za to mroczny grudeń, gdy wybrałam się do St. Petersburga. Celem głównym była oczywiście Rosyjska Biblioteka Narodowa, zwana dawniej Szczedrinką, a w niej sławna na świat cała kolekcja Abrahama Firkowicza, archeologa-amatora i zbieracza starożytności. Nie mogłam jednak odmówić sobie karaïmskich spotkań w gronie starych znajomych Romana Aramowicza Ajwaza, Tamary Czoref – mojej cudownej



Z wizytą u Romana A. Ajwaza

gospodyni... Tych kilka krótkich dni dzieliłam z trudem pomiędzy zbiory dokumentów, a szybkie spotkania. Niezbadane i nieprzebrane morze informacji archiwalnych i historycznych oraz skromne wieści z życia codziennego. A jednak sukces, kilka niezwykle interesujących dokumentów i fragmenty informacji wyłaniające się z popękanego zwierciadła dziejów. Czy wykaz mieszkańców Nowego Miasta z połowy XVIII w. może równać się z informacją, że gdzieś na obrzeżach miasta istnieją ocalałe po wojnie fragmenty starego karaïmskiego cmentarza, o którego istnieniu dowiedziałam się ze starych ksiąg metrykalnych? Może... Musi... Pozostaje we mnie przekonanie, że ja tu jeszcze wrócę...

U nas zima powoli chowała swoje pazury, czasem jeszcze strasząc mrozem, a tam nad Bosforem już słońce zaczynało wiosenne harce. To była prawdziwa rozkosz. Cudowny błękit nieba i sączące się łagodne ciepło słońca. Tego właśnie było nam – Ani Sulimowicz i mi – trzeba.



Przed stambulską kienesą

N a s z e stambulskie cele tylko w części udało się zrealizować. Można p o w i e d z i e ć : pierwszy kontakt został nawiązany. Tak, byliśmy w kienesie. Nie, nie byliśmy na tiffinu. Tak, spotkałyśmy się z braćmi Orme i Jakubem Tanatarem. Nie, nie u z y s k a ł y ś m y żadnych historycznych ani współczesnych informacji. Ot, chwila sympatycznej i kurtuazyjnej rozmowy o poranku. Tak, byliśmy na cmentarzu – niesamowita nekropolia, gdzie przeszłość miesza się z terażniejszością. Tu w ostatniej drodze członkowie dawnej gminy w Edirne – Adrianopolu spotkali się z białymi emigrantami z Krymu. Napisy pokazują drogi, które przebyli z Krymu, Odessy, Bachczysaraju.... Przeplata się tu hebrajski

z rosyjskim, rosyjski z tureckim. Biały marmur lśni w słońcu, jego blask odbija się w oknach sąsiednich kamienic. Smutek ogarnia, gdy patrzymy na porozsuwane podczas trzęsienia ziemi nagrobki, złość, gdy patrzymy na ślady pozostawione przez wandalę, cyfry namalowane farbą olejną – nie wiadomo, kto to był i w jakim celu to robił. Ciekawość naszą budzą płytkie wgłębienia wykute w płytach nagrobnych. Jaki był ich cel? Któż to wie.



Z wizytą u rodziny Yaf

Na cmentarz trafiłyśmy dzięki pomocy stambulskich Karaimek. Kontakt został nawiązany dzięki p. Ricie Yaf, mamie Senyi, z którego żoną, Tamarą z domu Dubińską, spotykałyśmy się w Bachczysaraju dwa lata temu. Naszymi przewodniczkami były siostra Senyi Ester Sinani i jej przyjaciółka Anna Sinani. Przemile stambulskie damy. I to właśnie dzięki nim byłyśmy w stanie wejrzeć za zasłony ich społeczności. Miło było usłyszeć ich opowieści o dawnym życiu przed pożarem na karaimekiej ulicy w Hasköy, gdzie ich prababki przez bezmyślność i upór jednej z nich, utraciły w ogniu całe swoje posagi, o teatrze młodzieżowym z lat 20., o wyśilkach, które podejmują w celu zachowania integralności swojej społeczności, o próbach kojarzenia par pośród karaimekiej młodzieży. Czy im się to udaje? Niestety, coraz rzadziej, coraz częściej młodzi poszukują partnerów życiowych w środowisku zewnętrznym. Jaka jest przyszłość tej niespełna 120 osobowej społeczności? Chyba niezbyt optymistyczna... I znowu jak mantra w mojej głowie pojawia się myśl: ja tu wrócę... Tyle, że duszek zza ucha podpowiada, że aby nawiązać z nimi taki prawdziwy kontakt, to jednak powinnam opanować choć trochę język turecki...

Minęły zaledwie dwa tygodnie, a ja znowu wyruszam w podróż. Tym razem jeszcze dalej. Moim celem jest Izrael. Prognozy zapowiadają całkiem przyjemną aurę, czyli znowu przedsmak wiosny, a może i muśnięcie lata. I znowu nadzieja na ciekawe karaimekie spotkania... Czasu niestety za wiele nie mam, pomiędzy obowiązkami naukowymi muszę jednak wygospodarować chwil parę na spędzenie szabatu z zaprzyjaźnioną rodziną Tani i Aloszy Kefeli, uściskanie Maszy Czeltek, która podjęła trudną decyzję o opuszczeniu Eupatorii wraz z matką-staruszką, ciocią Rają i skorzystania z pomocy socjalnej tego dalekiego kraju.

W Tel Awiwie dzień był całkowicie zorganizowany (konferencja, wycieczki, kolacje) i nie pozostawiał żadnych możliwości na wypad za miasto. Jedyną nadzieją była Jerozolima. I właśnie stamtąd zaplanowałam wyjazd do Aszdodu. Sprawa była o tyle skomplikowana, że w piątek, wczesnym popołudniem kraj praktycznie zamierał, transport przestawał jeździć, zamykano sklepy. Życie budziło się dopiero po zachodzie słońca w sobotę. Jednak po ustaleniu możliwości transportu i noclegu (bo jednak kilkadziesiąt kilometrów miałam do pokonania), podjęłam decyzję: jadę! Nie wiadomo, kiedy taka następna okazja się nadarzy. Miasto Aszdod nie zrobiło na mnie szczególnego wrażenia, ot kolejne duże, nowoczesne miasto. Wielkie blokowiska o białych ścianach. Nic szczególnego, wydawało się na początku. A jednak miasto to mnie oczarowało, poczułam paskudne uczucie zazdrości. Dlaczego?



Kienesa w Aszdodzie

Otóż pośrodku jednej z peryferyjnych, nadmorskich dzielnic stoi współczesny kompleks: kienesa, klub i karaimeka szkoła. I to chyba największa tego typu

budowla, którą widziałam, a jak mówił Alosza, już zaczyna być im ciasno i planują budowę kolejnej kienesy na innym osiedlu. Na razie zbierają na to środki. Dobrze, że dojechałam przed szabatem. Dzięki temu udało mi się jeszcze zrobić trochę zdjęć! Bo w szabat używanie aparatu fotograficznego jest zabronione i w żadnym wypadku w kienesie zdjęć robić nie wolno. Jedyna nadzieja w Tani, że nie zapomni zarejestrować moich wspomnień swoim aparatem w dzień powszedni. Pierwszy szok: sobotnia winda! Otóż bardzo religijni Izraelczycy nie używają w szabat prądu, ci chodzą po schodach. Ci mniej religijni jeżdżą normalną windą. A ci pomiędzy jeżdżą windą, która nie wymaga obsługi przez pasażera, bo zatrzymuje się na każdym piętrze. Wolno jeździe, ale do celu trafia. W piątkowy wieczór, przyznaję się, nabożeństwo sobie odpuściłam. Wolałam porozmawiać z Tanią, Maszą i cicią Irawą w czasie, gdy Alosza z dziećmi byli w kienesie. Gadaliśmy zresztą i po ich powrocie z kienesy, ale nie za długo, bo rano trzeba było wstawać. Poranne *tifinla* zaczyna się o wschodzie słońca, czyli przed szóstą rano, ja zdecydowałam, że aż tak wcześnie nie pójdę, wystarczy na ósmą. Zresztą Alosza zaprobował moją decyzję, choć proponował, bym szła razem z nim o świcie. Jako że nie skorzystałam z tej propozycji, moimi przewodnikami byli trzynastoletni Dania i dziewięcioletnia Mariasza. Oni praktycznie wychowani w kienesie, ja gość z innego świata. Dzieci opowiadały, jak się należy zachowywać, że trzeba komórkę wyłączyć (oczywiście wyciszona, w czasie nabożeństwa dzwoniła) i jak są podekscytowani przygotowaniami do zbliżających się świąt, biegając na dodatkowe zajęcia nauki czytania *haggada*. Czasu mają nie za dużo, bo zajęcia raz w tygodniu w grupach wiekowych, ale chęci wiele, bo też obiecane mają nagrody. Po krótkiej chwili doszliśmy do kienesy, czyli jak tam się mówi Beit Kneset. Dania poszedł na dół, my z Mariaszą na górę, szybko oglądając wiszące wzdłuż schodów fotografie. W dużym holu pozostawiłyśmy okrycia i buty i już w chustkach weszłyśmy na babiniec. Czy się różni? Nie za bardzo, w krzeselkach siedzą kobiety, wszystkie z modlitewnikami, jedne śledzą tekst modlitwy, inne plotkują. Mariasza podeszła do półki i wzięła modlitewnik. Oczywiście potrzebowała pomocy przy zlokalizowaniu właściwego miejsca, bo dopiero jest na poziomie *alef*, a już po chwili pilnie śledziła tekst. Ja, niedokształcona, zaczęłam rozglądać się. Nie da się ukryć, „dół” mnie bardzo interesował. Przestrzeń jest całkiem inaczej



Wnętrze kienesy w Aszdodzie

zorganizowana niż w znanych mi kienesach. Oczywiście, centrum stanowi *ehal*, stojący na podwyższeniu, oddzielony od głównej nawy niskimi tralkami. Cała podłoga pokryta jest miękkim dywanem, ale nie ma ławek. Jedynie dla najstarszych przygotowano krzesła. Pozostali siedzieli na dywanie lub stali. W mniejszych lub większych grupkach, czasem w poprzek nawy, czasem wzdłuż. Przed *ehalem* stoi kilka *duchanów*, przy których co jakiś czas następowała wymiana czytających. A czytali wszyscy, i ci najstarsi, i ci średni, i ci najmłodsi (no, może nie wszyscy, niektórzy wyraźnie prowadzili życie towarzyskie). Choć ich melodia była różna od tej, do której przyzwyczajone jest moje ucho, to czułam się tam jak najbardziej na miejscu i zazdrościłam im tych przeżyć, których mogą doświadczać, znając i rozumiejąc recytowany tekst Pisma. W pewnej chwili jeden ze starszych podszedł do młodego chłopca, może 12-letniego i poprowadził go do samego *ehalu*. Rozpoczął śpiew pięknego psalmu, a po chwili chłopiec nieco mniej wprawnie przejął od niego głos. Czy to był syn, czy krewniak, nie wiem, ale zrobiło to na mnie duże wrażenie. Już przy końcu *tifinla* młoda dziewczyna zaczęła rozdawać wszystkim uczestniczącym w modłach kobietom suszone owoce w małych opisanych pudełeczkach, potem się okazało, że każdy z mężczyzn też otrzymał taki poczęstunek. To był poczęstunek od rodziny kobiety, która w przeddzień zmarła. Taki mają obyczaj, że każda – smutna, czy radosna – rodzina okoliczność jest dzielona w ten sposób z członkami społeczności. Czy to narodzenie dziecka, czy pierwsze jego samodzielne czytanie w kienesie, czy ślub, czy śmierć...

Około godziny 11-tej wróciliśmy do domu. Obyczaj religijny zakazuje korzystania z elektryczności w sobotę¹, dlatego wszystkie prace, łącznie z przygotowaniem obiadu, wykonywane są w piątek. Część osób nawet nie podgrzewa w sobotę jedzenia, inni mają specjalne podgrzewacze, termosy, w których przygotowany w piątek posiłek oczekuje na sobotni obiad. Nie ma to jak ruski piec, w którym nasze babki pozostawiały *biok* i *gannawy* w piątkowe popołudnie...

Resztę tego dnia spędziliśmy na długich rozmowach i opowieściach. Ja opowiadałam o nas, Masza, Tania i Alosza opowiadali o swoim życiu. Szybko nadeszła pora, gdy trzeba się było zebrać na wieczorną modlitwę. Co prawda, na nią szedł tylko Alosza, ale i my podeszliśmy do kienesy pod koniec, bo to była jedyna okazja, by kupić w kienesie ich wydawnictwa, a takie zadanie otrzymałam od mojego promotora, prof. Muchowskiego. I faktycznie, książek wydają dużo. Najczęściej to są współczesne wydania dzieł i rękopisów znanych nam z literatury autorów trockich, krymskich czy bizantyjskich.

Nadszedł wieczór i czas powrotu do Jerozolimy. Zaopatrzona w telefon do ribbi Mosze Dabba, hazzana jerozolimskiej kienesy, miałam nadzieję, że i tam mi się uda trafić. Jedyne wolne popołudnie mieliśmy we wtorek i tak też umówiliśmy się. Z niejakim trudem odnaleźliśmy kienesę ukrytą przed wzrokiem przypadkowego przechodnia. Właściwie weszliśmy nie od strony kienesy, lecz od strony zaplecza, czyli muzeum, gdzie na niewielkiej wystawce zgromadzono książki, zdjęcia, przedmioty związane z religią i życiem codziennym. Miałam wrażenie, że ribbi Mosze trochę mnie testuje, ale jak bez trudu rozpoznałam w gablocie z wydawnictwami *Myśl Karaimską* i *Łuwachlar*, a potem na fotografii hazzana krymsko-egipskiego ribbi Towię Lewi-Babowicza, a także Abrahama Firkowicza, to już byłam „swoja”. A gdy w następnej sali rozpoznałam na zdjęciu przed trocką kienesą pradziada, Abrahama Samuela i bez problemu zidentyfikowałam budynki kienes z Trok, Wilna i Eupatorii, to w prezencie dostałam płytę z nagraniem tiffinla w jerozolimskiej kienesie i obietnicę kompletu zdjęć z samej kienesy, do której niestety nie udało się nam wejść. Oficjalny powód: z powodu choroby nie dojechał ktoś z kluczami, ale zrozumieliśmy, że prawdziwą przyczyną było to, że nie wpuszczają do

¹Karaimi Europy Wschodniej nie praktykują obyczaju nie palenia światła w sobotę, wiąże się to z przyjęciem w XV w. reformy Elijahu Basziaczi.



Z wystawy w jerozolimskiej kienesie

kienesy mężczyzn bez *miela*. A niewątpliwie towarzyszący mi naukowcy do takich należeli, toteż kienesę obejrzelśmy jedynie przez szybę. Hmm, następnym razem może uda mi się...

Rozmawialiśmy jeszcze chwile z ribbi Mosze, który swego czasu korespondował z pewnym Karaimem z Polski. Pamiętał, że nazywał się Mordechaj Abramowicz, ale po chwili zastanowienia doszliśmy do wniosku, że był to zapewne nieżyjący już Zygmunt Abrahamowicz z Krakowa.

Kolejnym karaimskim akcentem była wizyta na, położonym na stoku wzgórza, cmentarzu jerozolimskim, czynnym do dziś, na którym najstarsze płyty nagrobne pochodzą z XVIII w.

I to było moje ostatnie spotkanie z Karaimami. Miałam jeszcze nadzieje na spotkanie w Barszewie, do której się następnego dnia udawaliśmy, ale niestety, zaproszony na lunch ribbi Mosze Firuz nie pojawił się. Szkoda, ale coś trzeba pozostawić na raz następny...

Pozostały czas spędzałam z kolegami w bibliotece, gdzie nie mogliśmy się oderwać od przegromnych zbiorów karaimskich i tych współczesnych, i tych dawnych, zgromadzonych w pracowniach rękopisów i mikrofilmów, gdzie przechowywane są oryginały i kopie rękopisów karaimskich, przy czym wiele z nich to kopie dzieł z petersburskich zbiorów. I jest to temat, którym interesują się tamtejsi badacze. Szczególną uwagę poświęcają rękopisom trockim, łuckim i halickim z XVI – XIX w. I mają nad nami pewną wielką przewagę. Otóż oni potrafią je czytać...

Mariola Abkovicz
Wrocław